POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE THREEPENCE (in U.S.A. and Canada 5c.

Wychodzi co tydzień *Dnia 10-go sierpnia 1946 r* **Rok VIII. Nr. 32**

IGRANIE GRANICAMI POLSKI

Polska, po wojnie 1939-45, w której uczestniczyła w gronie Narodów Zjednoczonych, od początku do końca, w odróżnieniu od niektórych spóźnionych, zdobywając niesporne uznanie ogromem swych ofiar w walkach i w oporze przeciw najeźdźcom, nie ma granic prawnych i nie ma granic pewnych.

Polska bowiem nie tylko jest, wśród Narodów Zjednoczonych, jedynym smutnym wyjątkiem — a jest to zjawisko gorzej niż smutne, bo ponure, haniebne i urągające wszelkim godziwym pojęciom — jako państwo, któremu inne państwo wśród Narodów Zjednoczonych, Rosja, zabrało połowę obszaru od wschodu.

Polska jest również państwem, którego granica zachodnia, postawiona od razu z końcem wojny pod znakiem niepewności, staje się coraz wyraźniej igraszką w szeroko zakrojonych zabiegach i targach międzynarodowych.

* * *

Dzisiejsza rzeczywista granica wschodnia Polski jest granicą, którą, kosztem Polski, ustaliły Niemcy i Rosja, wszczynając razem, wspólnie i wspólniczo, w ścisłym współdziałaniu, wojnę w r. 1939 — i to właśnie jest hańbą nad hańbami w dziejach współczesnych — w układach Ribbentrop-Mołotow z 23 sierpnia 1939 i z 28 września 1939, częściowo jawnych a częściowo tajnych.

Gdy wspólnicy z r. 1939, Niemcy i Rosja, pokłócili się między sobą w połowie r. 1941, dalsze losy ziem polskich uwydatniają bliźniaczo podobne stanowisko dwu odwiecznych arcyzaborców w Europie. W okresie 1941–44, gdy Niemcy były górą, wcieliły Polskę zachodnią do Niemiec, a na reszcie Polski położyły łapę, sięgając swym panowaniem w głąb Rosji. W okresie od roku 1944, gdy Rosja, od chwili pokonania Niemiec przez Państwa Sprzymierzone, jest górą na środkowym wschodzie Europy, wcieliła ona Polskę wschodnią do Rosji, a na reszcie Polski położyła łapę, sięgając swym panowaniem w głąb Niemiec. Między tymi dwiema zbrodniami politycznymi Niemiec i Rosji wobec Polski, wywodzącymi się z wspólnej zbrodni niemiecko-rosyjskiej r. 1939, nie ma żadnej różnicy ani w istocie, ani w stopniu zbrodniczości.

Dnia 12 lutego 1945, w Jałcie na Krymie, pp. Churchill i Roosevelt podpisali wraz z p. Stalinem oświadczenie, w którym, nie mając źdźbła prawa do rozporządzenia cudzym, stwierdzili jednak zgodę swoją — diabli wiedzą czy osobistą czy swych krajów — na tę granicę wschodnią Polski, ustaloną w układzie Ribbentrop-Mołotow, a fałszywie dla nędznych pozorów przezwaną linią Curzon'a, która odrywa od Polski więcej niż połowę jej obszaru z r. 1939, bo 200 tys. km. kw., oraz więcej niż trzecią część jej ludności z r. 1939, bo przeszło 13 milionów.

Niegodziwość była tym jaskrawsza, że właśnie pp. Churchill i Roosevelt pierwsi podpisali i obwieścili Kartę Atlantycką z 14.8.1941, poręczającą Narodom Zjednoczonym nienaruszalność obszaru w art. 2-im i przywrócenie niepodległości z rządami nienarzuconymi w art. 3-im, że następnie 1.1.1942 dali tę Kartę do podpisania wszystkim bez wyjątku Narodom Zjednoczonym z Rosją włącznie, a że ostatecznie 12.2.1945 tak się jej sprzeniewierzyli.

To sprzeniewierzenie się jest niesporne i oto raz jeszcze nie kto inny jak p. Bevin, w ostatniej swej mowie w Izbie Gmin, 25 lipca 1946, wspomniał z czasu swego udziału w rządzie pod przewodnictwem p. Churchill'a:

.. ...nowe granice Polski, których nigdy nie zdołałem pogodzić z Kartą Atlantycką...the new Polish frontiers which I have never been able to reconcile with the Atlantic Charter... "

Bezprawiu Churchill-Roosevelt-Stalin w Jałcie 12.2.45 stały na zawadzie prawne władze Państwa Polskiego, więc jednocześnie zapowiedziano tam wyzute również z wszelkich pierwiastków prawa utworzenie nowego t.zw. Rządu Polskiego, co przeprowadzono w Moskwie, obcymi Polsce rękoma, 21.6.45, po czym Rosja zawarła z tym t.zw. rządem na jej postronku, czyli sama z sobą, również w Moskwie, 16.8.45, układ oddający jej wschodnie ziemie Polski.

Zawładnąwszy zaś wschodnią Polską, z Lwowem i Wilnem, Rosja przystąpiła tam do najdzikszego, jakie znają dzieje, tępienia polskości i katolicyzmu, wypędzając ludność milionami na wschód i na zachód, oraz do niszczenia, w połowie 20-go wieku po Chrystusie, dzieła wieków tak straszliwie i ponuro, że spustoszenia w dobie wędrówek ludów lub w dobie najazdów hord tatarskich są drobnymi zjawiskami wobec tej potwornej całkowitej zagłady.

Oto stan rzeczy na wschodzie Polski — grabież połowy obszaru Narodu Zjednoczonego na urągowisko wszelkiemu prawu z Kartą Atlantycką i Kartą Narodów Zjednoczonych włącznie — na który patrzy dzisiaj, lub raczej od którego odwraca oczy, Konferencja Europejska w Paryżu.

* * *

Losy zachodniej granicy Polski w toku wojny i po niej są również wciągnięte w splot świadomych i złowieszczych powikłań.

Od chwili najazdu Niemiec na Polskę, 1 września 1939, ustaliło się w świecie przekonanie, że, po pokonaniu Niemiec, granica zachodnia Polski musi być zmieniona, gdyż:

1. w pogranicznych ziemiach, dawniej polskich, a w biegu wieków opanowanych przez Niemcy, ludność była stale niemczona, a Trzecia Rzesza przystąpiła do stanowczego wydarcia narodowości pozostałej tam ludności polskiej,

2. okrążenie Polski na północy zaborem niemieckim nad Bałtykiem a na zachodzie i południu zbliżeniem się ku Wiśle stwarzało tam jakby przedpole odwiecznego Drang nach Osten.

Zniesienie podstawy wypadowej niemieckiej na północy w Prusach Wschodnich oraz przesunięcie granicy zachodniej nad Bałtykiem i na Śląsku było przeto powszechnie wśród Narodów Sprzymierzonych uznane za konieczne.

Karta Atlantycka w art. 8 przewidziała takie zabezpieczenia na przyszłość przed napastnikami, a — wobec jej art. 2-go o nienaruszalności obszarów — pp. Churchill 22.2.44 i Cordell Hull 9.4.44 oświadczyli, że oczywiście nie odnosi się to do państw napastniczych.

Lecz znowuż w Jałcie, która będzie w dziejach tej doby uznana za jaskinię wszelkiego bezprawia, pp. Churchill-Roosevelt-Stalin wprowadzili nieoczekiwanie i dowolnie zgoła inne pojęcie, t.zw. kompensaty czyli odpłatnej wymiany obszarów, właśnie w związku z Polską:

Rosja zabierze Polsce jej ziemie wschodnie, a...za to Polska dostanie obszary na północy i zachodzie.

Takiego przetargu, dla którego darmo by szukać godziwego uzasadnienia w prawie międzynarodowym i jakiejkolwiek podstawy w Karcie Atlantyckiej, Polska nie uznała i nie uznaje, stojąc właśnie na gruncie Karty Atlantyckiej: art. 2-go o nienaruszalności obszaru Narodów Zjednoczonych i art. 8-go o zmianach granic na niekorzyść państw napastniczych zwłaszcza ze względów bezpieczeństwa.

Dowolność tego pojęcia przesunięć zamiennych od razu też zrodziła dalsze dowolności.

W oświadczeniu Churchill-Roosevelt-Stalin w Jałcie 12.2.45, po zdaniu o t.zw. linii Curzona jako wschodniej granicy Polski, dodano następnie zdanie, że Polska musi otrzymać znaczne nabytki obszaru na północy i na zachodzie (Poland must receive substantial accessions of territory in the north and west) czyli w Prusiech Wschodnich i od Bałtyku po Śląsk.

Ale już w mowie w Izbie Gmin 27.2.45 p. Churchill niespodziewanie ograniczył sprawę w Prusiech Wschodnich mówiąc:

„ ...większa część Prus Wschodnich na zachód i na południe od Królewca...the greater part of East Prussia west and north of Koenigsberg... "

Czyli wyszło szydło z worka: dla Polski część Prus Wschodnich bez najistotniejszej, ze względów bezpieczeństwa i gospodarstwa, stolicy, bo to...dla Rosji.

Następnie, na naradzie Churchill (Attlee)-Truman-Stalin w Poczdamie, od 7 lipca do 2 sierpnia 1945, postanowiono — jakby ta trójka w ogóle miała prawo postanawiania o cudzym — ostateczne (ultimate) przyznanie Rosji obszaru północno-wschodniego Prus Wschodnich a Królewcem, a tymczasowe (provisional) aż do układów pokojowych oddanie pod zarząd Polski obszarów od Bałtyku tuż na zachód od Świnoujścia wzdłuż Odry do spływu jej z Nisą Zachodnią i wzdłuż Nisy do Czechosłowacji.

W ten sposób oddano pod zarząd polski — (powiedzmy ściślej, pod odpowiedzialnością z imienia polską, bo rzeczywisty zarząd, przy wojskowej okupacji rosyjskiej, to...inna sprawa) — ziemie tego obszaru na zasadzie...na jakiej zasadzie?...na zasadzie niepewności.

Jest to zaś obszar ponad 100 tysięcy km. kw. z ludnością przedwojenną, według spisu niemieckiego z 17 maja 1939, ponad 9 milionów.

A w jakich warunkach ma się zarządzać tymi ziemiami?

Drugą, obok niepewności, jest tam zasada...ruchomości wszystkich i wszystkiego.

Ruchomości wszystkich, gdyż przesiedlania odbywają się tam w takich rozmiarach, że np. p. Bevin, w mowie z 25 lipca r.b., mówi o milionach Niemców, którzy stamtąd poszli na zachód, a według wiadomości ogłoszonych w Kraju w lipcu r.b., jest tam obecnie około 4 miliony ludności polskiej, w czem 1 milion 150 tysięcy przesiedlonej ze wschodu.

Ruchomości wszystkiego, gdyż Rosjanie, jak wszędzie, tak już tam najswobodniej, grabią i wywożą wszelkie mienie, niszcząc warsztaty pracy.

Jakżeż tu wprowadzać ład w takich warunkach?

* * *

Niepewność zaś — po roku z górą od Poczdamu — nie maleje, lecz wzrasta.

Wzrasta jako niepewność polityczna, wskutek coraz wyraźniejszych knowań Rosji w jej zamysłach wobec Niemiec.

Wszak wiadomo, iż w obchodach 1-go maja r.b. w okupacji rosyjskiej — czyli za zgodą władz rosyjskich — pochody komunistyczne i nie tylko komunistyczne niemieckie obnosiły napisy przeciw obecnej granicy zachodniej polskiej.

Ale to nie tylko odświętnie: także na co dzień odżywa polityka niemiecko-rosyjska o stęchłym zapachu Rapallo z r. 1922.

„Wymowne są tajne ulotki — pisze mi w liście rodak z Niemiec — kolportowane także w zachodnich strefach okupacji, amerykańskiej i brytyjskiej, w których bardzo obszernie przedstawia się w najgorszym świetle stosunki panujące w strefie polskiej (tak ulotka nazywa zachodnie ziemie polskie), wspominając m.i., że ludność niemiecka trzymana jest w obozach koncentracyjnych, całe noce w wodzie po szyję i t.p., nie podając ani nazw miejscowości ani nazwisk obsady, a kończy się ulotka opisem rajskich stosunków w strefie sowieckiej, gdzie umęczona ludność niemiecka, której udało się zbiec do tej strefy, znajduje opiekę i ratunek. Nie trudno domyślić się myśli przewodniej i autorów tej roboty. Za tę cenę chce się kupić Niemców i stara się poszczuć Niemców na Polaków".

A odgłosy niemieckie zalotnego wobec Niemiec przemówienia p. Mołotowa w Paryżu 10 lipca 1946 jako końcowego strzału narady Czterech?

Na takim tle knowań i rozgrywek ujrzy dzisiejszy i jutrzejszy stan rzeczy na zachodzie Polski, jeśli ma oczy ku widzeniu, Konferencja Europejska w Paryżu.

STANISŁAW STROŃSKI

CZY „POKOJOWA"?

W poniedziałek dnia 29 lipca rozpoczęła się w Paryżu konferencja 21 państw, które, w mniejszym czy większym stopniu, brały udział w wojnie 1939–1945.

Konferencja ta, nie bez pewnego zakłopotania określana jako „pokojowa", poprzedzona była dwoma spotkaniami ministrów spraw zagranicznych, t.zw. „Wielkiej Czwórki". W czasie tych spotkań zdołano przygotować teksty traktatów pokojowych z pięciu byłymi satelitami Niemiec: Włochami, Bułgarią, Rumunią, Węgrami i Finlandią. Jest to grupa zagadnień, co do których uzyskano formalną zgodę; istotna wartość tych traktatów i widoki ich trwałości to inna sprawa.

Traktaty obecnie przedstawione do przedyskutowania i rozważenia przedstawicielom 17-tu mniejszych państw plus reprezentanci „Wielkiej Czwórki". Razem więc lista uczestników trzeciej konferencji paryskiej obejmuje 21 narodów: Stany Zjednoczone, Wielką Brytanię, Francję, Chiny, Rosję, Brazylię, Kanadę, Nową Zelandię, Australię, Południową Afrykę, Belgię, Holandię, Norwegię, Polskę, Czechosłowację, Grecję, Indie, Białoruś, Ukrainę, Abissynię i Jugosławię.

Państwa te pracują w pięciu głównych komisjach, z których każda dyskutować będzie zagadnienie jednego z traktatów, już poprzednio uzgodnionych przez „Wielką Czwórkę". Poza tym, obradują inne komisje, głównie techniczno-gospodarcze, rozważające poszczególne sprawy, co do których „Wielka Czwórka" powzięła tylko decyzje tymczasowe lub niezupełne.

Osią trzeciej konferencji paryskiej będą jednak prawdopodobnie te zagadnienia, które nie zostały rozstrzygnięte na dwóch poprzednich: sprawa Niemiec i Austrii oraz wolności żeglugi na Dunaju. Wielka Brytania i Stany Zjednoczone zdecydowane są wywrzeć energiczny nacisk na Rosję Sowiecką, by posunąć naprzód rozwikłanie tych trzech kapitalnych problemów europejskich. Nic jednak nie wskazuje na to, by postawa Mołotowa była bardziej pojednawcza, niż dotychczas. Związek Sowiecki ma własne plany wobec Niemiec. Wiele objawów wskazuje na to, iż wciągnięty jest on w daleko idące przygotowania do rozegrania sprawy niemieckiej, jako szermierz jedności Czwartej Rzeszy, tym razem budowanej — pod egidą Moskwy.

Jeżeli chodzi o procedurę, to tak Wielka Brytania jak i Stany Zjednoczone dążyły do tego, by poprawki i wnioski do traktatów pokojowych z byłymi wasalami Niemiec oraz do innych rozstrzygnięć konferencji czterech mocarstw czynione były zwykłą większością głosów. Na nalegania Mołotowa zalecenia plenum konferencji zapadać mają kwalifikowaną większością 2/3 głosów. Zgadzając się, po długich targach, na tę poprawkę sowiecką, Byrnes starał się jednak uczynić pewien gest dla podkreślenia demokratyczności procedury konferencji i uzyskał zgodę Rosji na prawo mniejszości składania raportu na plenum konferencji. Prawo to przysługiwać będzie również państwom, nie zgadzającym się ani z większością, która zdołała przeprowadzić swój wniosek, ani też z opinią tych, którzy głosowali przeciwko niemu.

Tak więc, z czysto formalnego punktu widzenia, procedura ta może się wydawać bardzo demokratyczna, w porównaniu z procedurą konferencji w Wersalu, w roku 1919. Jednakże pamiętać należy, iż wszelkie uchwały plenum konferencji zostaną poddane ponownemu rozpatrzeniu i zatwierdzeniu przez „Wielką Czwórkę", po czym dopiero może nastąpić ich podpisanie. Tak więc w istocie państwa mniejsze mają rozszerzony zakres dyskusji, lecz ich wpływ na ostateczne decyzje pozostaje tak samo ograniczony, jak dotychczas.

Nalegania Mołotowa, by zalecenia konferencji przeprowadzane były większością 2/3 głosów jest zrozumiałe. Moskwa rozporządza bowiem sześcioma spośród 21 głosów (Rosja, Białoruś, Ukraina, Polska, Czechosłowacja i Jugosławia). Wobec tego, więc, dla wprowadzenia jakiejkolwiek poprawki w tekstach traktatów pokojowych z byłymi satelitami Niemiec — traktatów, które, jeżeli chodzi o ich całokształt, są niewątpliwie korzystne dla Związku Sowieckiego, wszystkie państwa z pozasowieckiej sfery wpływów, musiałyby głosować jednomyślnie, mając tylko nadwyżkę jednego głosu.

Po załatwieniu spraw traktatów byłych państw wasalnych Rzeszy oraz spraw technicznych główna batalia rozpocznie się prawdopodobnie nad zagadnieniem przyszłości Niemiec, Austrii oraz Dunaju. Wyczerpawszy bowiem możliwości jednostronnych ustępstw, poświęciwszy dwu swoich sojuszników, Polskę i Jugosławię, oraz dopuściwszy do ugruntowania się przewagi sowieckiej na terenie państw satelickich, mocarstwa anglo-saskie stoją wobec decyzji rozstrzygających: rozprawa o Niemcy to bitwa o Europę.

Dopóki Niemcy były wielką potęgą militarną, stanowiły one zagadnienie światowe. Zdruzgotane ciągle jeszcze są centralnym i naczelnym zagadnieniem Europy. Przyszłość zaś Europy jest zagadnieniem światowym. Umocnienie się wpływów sowieckich w Niemczech przesądzałoby zapewne przyszłość kontynentu europejskiego, redukując wpływy zachodnie do szeregu postrzępionych, niepowiązanych ze sobą przyczółków. Opór zaś na tego rodzaju przyczółkach, byłby — jeżeli nie niemożliwy — niezmiernie utrudniony.

Opanowanie kontynentu europejskiego, zagrażając śmiertelnie Wielkiej Brytanii, głównemu sojusznikowi Stanów Zjednoczonych w ich rozgrywce z Rosją o stanowisko pierwszego mocarstwa globu, redukowałoby bardzo poważnie znaczenie tych wysp. Do tego Waszyngton nie może dopuścić. Wielka Brytania stojąca w obliczu militarnej kombinacji sowiecko-niemieckiej musiałaby się z konieczności ograniczyć do jakiejś rozpaczliwej samo-obrony, walki o samo już właściwie istnienie jako niezależnego czynnika politycznego. Jej rola wiążąca Sowiety w Europie i na Bliskim oraz Średnim Wschodzie, wyznaczona jej, dzisiaj już zupełnie otwarcie w ramach globalnej strategii amerykańskiej, byłaby niemożliwa do wypełnienia.

Stany Zjednoczone, wykonując swe główne zadanie osadzenia Sowietów w Azji i na Pacyfiku, przez zrównoważenie ich kontynentalnej potęgi innym popieranym przez siebie kontynentalnym mocarstwem, jakim mają być w planach Waszyngtonu Chiny — potrzebuje Wielkiej Brytanii, zdolnej do wykonania swych ograniczonych, lecz bardzo konkretnych zadań na terenie europejskim i blisko-wschodnim. Poza tym połączenie potencjałów Rosji i Niemiec jest niebylejaką groźbą...

Dlatego też, pomimo, że Europa stanowi z punktu widzenia Stanów Zjednoczonych drugorzędny teren zainteresowania, harmonizacja planów amerykańskich w skali światowej wymaga obrony interesów brytyjskich w Europie, a więc przynajmniej osadzenia Rosji na miejscu.

Taka linia polityczna zarysowuje się dosyć wyraźnie od smutnych dla Byrnesa doświadczeń po konferencji moskiewskiej z grudnia roku ubiegłego, gdy nieprzestrzeganie przez Kreml umowy o podziale świata na dwie wielkie orbity — pomiędzy Rosję a Stany Zjednoczone, doprowadziło do decydującego zwrotu w polityce amerykańskiej. Zwrot ten nastąpił na przedwiośniu tego roku, w marcu i kwietniu.

Przekonawszy się raz jeszcze, tym razem na własnej niemal skórze, bo w Mandżurii, iż Moskwa nie jest zdolna, ani skłonna do przestrzegania zobowiązań, jak długo nie są one zdecydowanie dla niej korzystne, Byrnes wkroczył na drogę polityki, opartej na współpracy mocarstw anglo-saskich. Linia ta, która wykrystalizowała się wyraźnie poprzez obie poprzednie konferencje paryskie, będzie — jak się wydaje — utrzymana i obecnie.

W tych warunkach więc nie jest prawdopodobne, by Anglo-Sasi zdecydowali się na jakieś istotne ustępstwa w sprawie Niemiec, przewidywać należy raczej zaciętą batalię. Ważność stawki, o którą toczy się gra, a brak skłonności do ustępstw z obu stron, nie wróży konferencji ani przebiegu zbyt spokojnego, ani daleko idących wyników.

A nazwanie jej „pokojową" jest dziwną mieszaniną t.zw. pobożnych życzeń z obłudą. Zwykliśmy to po prostu nazywać zakłamaniem.

M. K. DZIEWANOWSKI

Przegląd tygodniowy

PIERWSZY TYDZIEŃ W PARYŻU

Konferencja paryska, którą już słusznie przestano nazywać pokojową, ma za sobą pierwszy tydzień prac, albo raczej gadaniny. Nie są to rzeczy, które zbytnio pasjonują szerokie masy na świecie, doskonale zdające sobie sprawę z tego, iż w Paryżu nie są dyskutowane zagadnienia istotnie ważne. Niemniej obrady w Pałacu Luksemburskim nie są całkiem pozbawione znaczenia.

Najbardziej bodaj uderzającym rysem dotychczasowych debat jest śmiałość, energia i upór mniejszych państw demokratycznych. Jeżeli porównać konferencję paryską z konferencją w San Francisco przed 14 miesiącami, to różnica rzuca się w oczy. Mniejsze państwa przestały być potulnymi barankami, pozwalającymi wielkim mocarstwom dyrygować sobą według uznania.

Dr. Ewatt dzielny minister spraw zagranicznych Australii, wprawdzie już wówczas mówił cierpkie słowa pod adresem mocarstw, a zwłaszcza Rosji i stawiał się ostro, ale i on w decydującym głosowaniu na temat nieszczęsnego veta zdobył się tylko na powstrzymanie się od głosu. Teraz bije pięścią w stół i rozstawia wielkomocarstwową familię po kątach. Holandia, Belgia, Grecja, Południowa Afryka, Nowa Zelandia — wszystkie te państwa przestały bać się wielkich mocarstw i walczą z ich dyktatorskimi zapędami. Rok temu, gdy mocarstwa były zgodne między sobą, nikt nie miał odwagi sprzeciwić się, teraz każde ich zalecenie, każde żądanie specjalnego przywileju jest kwestionowane.

ARYTMETYKA PARYSKA

Oczywiście mniejsze państwa nie mają zbytnich złudzeń na temat swoich możliwości. Nie mogą nie zdawać sobie sprawy z tego, że w dzisiejszej sytuacji ich głos niewiele znaczy. Trudno jest przypuścić, by konferencja była w stanie w sposób istotny zmienić teksty traktatów, przygotowane przez czterech ministrów. Ostateczna decyzja należy przecież i tak do „Wielkiej Czwórki", gdzie faktycznie Mołotow rozporządza prawem veta. Dlatego można z góry stwierdzić, że „i w Paryżu nie zrobią z owsa ryżu". Żo zbych traktatów nie zrobi się w żadnym razie dobrych.

Co więcej, ani St. Zjednoczone ani W. Brytania nie mają odwagi skorzystać z tej okazji stanięcia na czele mniejszych narodów i jasnego stwierdzenia, że nie czują się związane decyzjami „Wielkiej Czwórki". P. Byrnes ograniczył się do zapowiedzenia, że będzie bronił w łonie „Wielkiej Czwórki" wszelkich zaleceń konferencji uchwalonych przez dwie trzecie konferencji, choćby sam głosował przeciw danemu zaleceniu. Ale jest to po prostu mydlenie oczu, gdyż żeleli wielkie mocarstwa trzymają się swych uchwał, to żadna zmiana nie może być wbrew nim uchwalona taką większością.

Arytmetyka paryska jest bowiem niesłychanie prosta. Ogółem jest 21 głosów. Rosja ma sama sześć: swój własny, Ukrainy i Białorusi, Polski, Czechosłowacji i Jugosławii. Do tego dochodzą 4 dalsze wielkie mocarstwa. Jeżeli więc wielkie mocarstwa, łącznie z Chinami (które wprawdzie nie brały udziału w radzie ministrów spraw zagranicznych, ale zachowują „mocarstwową" solidarność) będą broniły swych decyzji, to już mają 10 głosów. Do tego dochodzi Norwegia, która ochotniczo zgłasza się na satelitę Rosji i już nie ma mowy nawet o zwykłej większości na rzecz poprawek, nie mówiąc o większości dwu trzecich.

Takie to są skutki zezwolenia na to, by imieniem Polski, Jugosławii i td. występowały kukły sowieckie, podnoszące rękę, gdy Mołotow pociągnie za sznurek.

INDIE — EGIPT — PALESTYNA

Trudno się dziwić, że gdy w Paryżu trwa takie przelewanie z pustego w próżne i żadne pozytywne osiągnięcia nie są możliwe, zainteresowanie świata skupia się wokół innych wydarzeń. Dla polityki brytyjskiej na pierwszy plan wysuwają się zagadnienia Środkowego Wschodu i Indii. Wszędzie powstały tam w ostatnich dniach nowe zawikłania.

W Indiach Muzułmanie porzucili plan brytyjski i grożą użyciem siły dla przeprowadzenia swego postulatu Pakistanu, tj. własnego państwa muzułmańskiego. Bunt bezmała 100 milionów Muzułmanów miałby oczywiście groźne następstwa. Jest to paradoksem, że teraz gdy Brytyjczycy gotowi są przyznać Indiom pełną niepodległość, Indie okazują się do tego niedojrzałe i swój byt niepodległy mogą rozpocząć od wojny domowej.

Rokowania anglo-egipskie, dotyczące zapewnienia bezpieczeństwa kanału Sueskiego w razie niebezpieczeństwa wojny, utknęły na martwym punkcie. W tym wypadku zresztą wiadomo jest, że agenci sowieccy usiłują nie dopuścić do porozumienia.

Najwięcej kłopotów sprawia jednak nadal Palestyna. W. Brytania wystąpiła z nowym planem federacyjnym, który jednak jest odrzucany przez wszystkich zainteresowanych: i przez Arabów, i przez Żydów a prawdopodobnie pod wpływem sjonistów również odrzucony będzie przez prezydenta Trumana, który na kilka miesięcy przed wyborami w Ameryce nie chce stracić głosów żydowskich.

Churchill doradzał rządowi brytyjskiemu, by się po prostu zrzekł mandatu nad Palestyną, jeśli Ameryka nie przyjdzie z pomocą w rozwiązaniu sprawy. Ale kłopot dla W. Brytanii polega na tym, że teraz, gdy obiecała wycofać wojska z Egiptu, musi mieć bazę obronną w Palestynie w pobliżu Suezu i w rezultacie nie może się z tego kraju wycofać. Dlatego też według nowego planu terytorium na pograniczu Egiptu nie ma być ani żydowskie, ani arabskie, lecz pozostać pod kontrolą brytyjską.

Ale cały ten plan pozostaje pod wielkim znakiem zapytania.

„ZA MAŁO I ZA PÓŹNO"

W czasie wojny nieraz różne przedsięwzięcia sojusznicze miały tę wadę, że następowały za późno i na zbyt małą skalę były zakrojone. Ciągle mówiło się: *„Too late and too little"* — za późno i za mało. Wydaje się, że to samo można powiedzieć o różnych posunięciach politycznych. Zarówno o planie palestyńskim, jak i demonstracyjnym wysłaniu wojsk na pogranicze Persji.

Jeśliby przed pół rokiem, gdy Rosjanie odmówili wycofania się z północnej Persji, W. Brytania wysłała swe wojska do południowej Persji, do czego miała prawo, to sytuacja rozwinęłaby się niewątpliwie inaczej. Ale W. Brytania nie zaryzykowała tego i w rezultacie wpływy sowieckie w Persji ciągle rosły. Po pewnym czasie Rosjanie mogli sobie pozwolić na to, by wycofać swe wojska, a nawet by pozostawieni przez nich w Azerbejdżanie agenci zrezygnowali z samorządu.

Odtąd bowiem nie chodziło już o Azerbejdżan; gra szła o większą stawkę, bo o całą Persję, a instrumentem w niej stała się w miejsce „demokratów" azerbejdżańskich ogólnoperska partia „Tudeh". Przed paru tygodniami pokazała ona swą siłę organizując antybrytyjski strajk naftowy, a przed paru dniami jej przedstawiciele weszli do rządu teherańskiego.

W odpowiedzi posłano jedną brygadę z Indii na pogranicze iracko-perskie. Ma to być ostrzeżenie dla partii „Tudeh", że nie pozwoli jej się na zlikwidowanie interesów brytyjskich w południowej Persji. Czy to ostrzeżenie poskutkuje — przyszłość pokaże. Ale łatwo może się okazać, że znowu było „za późno i za mało"...

CO SIĘ DZIEJE W ROSJI?

W. Brytania ma sporo kłopotów. Ale Rosja ma ich z pewnością nie mniej. Tylko, że niewiele o nich wiadomo.

Czystka w armii wydaje się zataczać coraz większe kręgi. Żukow nie jest jedyny. Los jego podzielił marsz. lotnictwa Nowikow, a wedle pogłosek niebawem zniknie z widowni marsz. Rokossowski, który zbyt często mówił z cudzoziemcami i to krytykując reżim. Następca Żukowa w Berlinie, marsz. Sokołowski też ma odejść.

Oczywiście istnieje nadal możliwość, że przeniesienie Żukowa do Odessy nie jest aktem niełaski, lecz odkomenderowaniem do innych zadań. Istnieje teoria, wedle której Żukow ma dokonać pacyfikacji Ukrainy, czego nikt do tej pory nie zdołał przeprowadzić. Faktem jest, że Ukraina jest dla Kremla źródłem wielkiej troski. Władze panują tylko nad głównymi szlakami, podczas gdy reszta kraju jest pod władzą partyzantów antysowieckich.

Reżim wie, że nie może mieć zaufania ani do Ukraińców, ani nawet do samych Rosjan, zwłaszcza gdyby doszło do wojny. Przed paru dniami powieszono gen. Własowa, przy czym zarówno proces, jak i egzekucja były tajne. Stalin i NKWD wiedzą, że za Własowem poszło około miliona Rosjan. Znany amerykański dziennikarz Alsop twierdzi, że krwawa bitwa pod Wielkimi Łukami była bitwą niemal wyłącznie pomiędzy Rosjanami. Niemcy mieli do oddziałów rosyjskich pełne zaufanie. Nic dziwnego, że starano się nie odsłaniać na procesie tajemnic akcji gen. Własowa.

Jeżeli do tego dodać czystkę w przemyśle, coraz bardziej rygorystyczne odcinanie Rosji od świata, gorączkowe zbrojenia i uruchamianie przemysłu zbrojeniowego w Niemczech, to będziemy mieli obraz reżimu, usiłującego wyeliminować swe rozliczne punkty słabe, a zarazem próbującego przez wyzywającą postawę i ofensywę polityczną tę słabość ukryć.

Londyn, 5 sierpnia 1946

ALEKSANDER BORAY

W oczach obcych

W prasie brytyjskiej zrobiło się znowu ciszej o sprawie polskiej. Nie można jednak temu zbytnio się dziwić, skoro w ogóle ta prasa stara się unikać większości tematów zagranicznych. Widocznie czytelnik brytyjski, zmęczony i złakniony pokoju, chciałby zapomnieć o tym, że na świecie dzieją się rzeczy, które powinnyby budzić jego głęboką troskę. Prasa pragnie mu w tym dogodzić. Oczywiście niezupełnie jest to możliwe; o troskach własnych i imperialnych pisać trzeba. Nie podobna przemilczeć wydarzeń w Palestynie, Indiach, Egipcie, Persji. Nie można nie pisać o konferencji paryskiej i o wiecznej bolączce, jaką jest sprawa niemiecka. Więc przynajmniej pragnie się zaoszczędzić czytelnikowi innych przykrości.

Czytelnikowi polskiemu trudno jest dziś znaleźć w prasie brytyjskiej to, co go interesuje. Milczy ona na temat wielu zagadnień, wydarzeń i faktów, które, zdawało by się, powinny wywołać powszechne zainteresowanie. Dość wskazać, że większość pism brytyjskich nawet nie ogłosiła wiadomości o odejściu marszałka Żukowa do Odesy, tym bardziej nie komentowała tego, bądź co bądź, doniosłego wydarzenia.

Nic dziwnego, że ignorancja na tematy zagraniczne, a już w szczególności polskie, nadal jest wielka.

Prasa brytyjska uważa dziś za swe zadanie szerzyć optymizm i zwalczać niewiarę w przyszłość, niewątpliwie bardzo w społeczeństwie rozpowszechnioną. Tak np. z okazji dorocznego Bank Holiday *„Daily Mail"* stwierdza, że po raz pierwszy od 12 lat sierpień jest spokojny i niezachmurzony:

„Perspektywy mogą być trudne, a przyszłość ciemna. Ale jest pokój i, jeśli nie zabraknie mądrości, nadzieja na trwanie pokoju. Oto dobra refleksja na słoneczne wakacje sierpniowe".

Nic dziwnego, że gdy się tak pragnie o wszystkim zapomnieć, pisma wolą nie pisać o sprawach polskich, które zakłócają pogodne myśli.

Niemal bez echa przeszła w tych warunkach druga rocznica powstania warszawskiego, mimo iż prasa brytyjska mogłaby na ten temat powiedzieć swemu czytelnikowi wiele rzeczy, o których nigdy nie słyszał. Jedynie katolicki tygodnik *„Tablet"* poświęcił trochę miejsca tej rocznicy. Podsumowawszy ostatecznie wyniki referendum i stwierdziwszy, że reżim jest zdecydowany pozbawić P.S.L. legalności, pisze on:

„Oto sytuacja w dwa lata po powstaniu warszawskim, na którego temat szerzy się pieczołowicie legendę, akoby było podjęte w nieodpowiednim momencie. Przed dwoma laty jednak żadna partia nie domagała się bardziej usilnie zbrojnej akcji przeciw Niemcom, aniżeli mała partia komunistyczna, która dziś stanowi jądro rządu; a radio moskiewskie ciągle oskarżało Armię Krajową o bezczynność, pomimo iż od chwili przekroczenia granicy polskiej w styczniu Armia Krajowa była w akcji, a 200.000 żołnierzy wzięło udział w operacji „Burza", której punktem kulminacyjnym było powstanie w stolicy.

„Działania Armii Krajowej podlegały centralnemu dowództwu sojuszniczemu; dopiero jednak po ogłoszeniu sprawozdania gen. Eisenhowera Polacy, podobnie jak i reszta świata, dowiedzieli się, że gen. Eisenhower nie był w stanie osiągnąć koordynacji działań swoich sił z Armią Czerwoną. A mimo to Armia Krajowa wciąż oskarżana jest przez Rosjan o to, że nie skoordynowała swych działań z Armią Czerwoną".

„Tablet" użył tu argumentu, który powinien trafić do przekonania czytelnika brytyjskiego.

Na temat powstania zabrał jeszcze głos na łamach *„Scotsman'a"* prezes szkockiej Ligi Wolności Europejskiej p. M'Even, który omówiwszy w liście do redakcji dzieje powstania, pisze w zakończeniu:

„Niektórzy być może, powiedzą, że wszystko to należy do historii i dziś nie budzi zainteresowania. Nie zgadzam się z tym. Niewątpliwie są tacy, dla których sama myśl o Polsce jest równie niepożądana, jak „niepogrzebany król Danii" był dla jego następcy, i dla tych samych powodów. Ale dla nas, których honor jest zaangażowany, jest rzeczą słuszną byśmy skorzystali z tej rocznicy dla złożenia hołdu wiernemu sojusznikowi".

LECTOR

Polska pod okupacją : oczernianie emigracji i jej wojska

PASZKWILANCI PRZY ROBOCIE

Kraj tęskniący za zmianą stosunków w dzisiejszej Polsce nadzieje swe związał z emigracją polską na Zachodzie. Dlatego też propaganda reżimowa pragnie za wszelką cenę emigrację tę zohydzić. W tym celu w prasie zamieszcza się artykuły, notatki, depesze o treści nieprawdziwej lub tendencyjnej. Jednym z głównych dostawców tego rodzaju „rewelacji" o nas jest p. Stanisław Strumph Wojtkiewicz. Dziennikarz ten i rotmistrz, który sześć lat spędził wśród nas, na emigracji, pragnie widocznie w ten sposób pozyskać łaski Osóbek czy Gomółek.

Kiedyś p. Strumph pracował w zbliżonym do Stronnictwa Narodowego „Kurierze Warszawskim", na którego wznowienie po wojnie reżim się nie zgodził; potem przeszedł on do „sanacyjnej" „Polski Zbrojnej", jako mąż zaufania marsz. Rydza. W czasie wojny pisywał zarówno na łamach naszego pisma, jak i „Orła Białego" tygodnika armii gen. Andersa. Teraz pisuje w czasopismach Bieruta i „marszałka" Żymierskiego. Kariera dziennikarska p. Strumpha jest bardziej różnorodna, niż wybitna.

Dla dodania sobie powagi i uwiarogodnienia swych relacji p. Wojtkiewicz reklamuje się w prasie reżimowej jako zaufany gen. Sikorskiego i jego doradca oraz jako szef kwatery prasowej Polskich Sił Zbrojnych, którym w rzeczywistości nigdy nie był. Ostatnio w Kraju ukazała się jego książka pt. „Sikorski i jego żołnierze".*) Książka ta opisuje dzieje i walki żołnierza polskiego na obczyźnie, dając wprawdzie dużo materiału faktycznego, zaprawionego jednak w ten sposób, by zrobić przyjemność reżimowi i poprzeć jego tezy propagandowe, dyskredytujące emigrację.

*) *Książka ta została zilustrowana m.in. rysunkami M. Walentynowicza. Stało się to bez jego wiedzy. Widocznie p. Strumph przejął się duchem czasu i rysunki te po prostu „upaństwowił".*

O OFICERACH DYWIZJI PANCERNEJ

Organ PPR, „Głos Ludu", z nieukrywaną satysfakcją przytacza z tej książki szereg przykładów. Oto jeden z nich:

„Inny przykład charakteryzuje dobrze — pisze „Głos Ludu" — *„fachowość" pewnych grup oficerskich, krzyczących najgłośniej o prawo do przewodzenia i dowodzenia. Kiedy formującą się w Szkocji polską dywizję pancerną trzeba było wyposażyć w armaty, sztabowcy dywizyjni wystosowali w tej mierze odpowiedni memoriał do władz angielskich. Te długo drapały się w głowę i — „zaczęły po całym świecie szukać armat, któreby odpowiadały polskim warunkom". Znaleziono takie działa ..na Filipinach. Były to po prostu stare trzycalówki rosyjskie z r. 1905, które różnymi drogami zawędrowały do młodziutkiej armii filipińskiej".*

Nie trzeba być rotmistrzem, ale po prostu strzelcem, aby wiedzieć, że dywizje wyposażane były w broń i sprzęt nie według „memoriałów" poszczególnych sztabów, ale według ustalonych norm brytyjskich. Historie przytaczane przez p. Strumpha należą do rzędu bajek, potrzebnych mu jedynie po to, by Krajowi powiedzieć jakimi nieukami byli oficerowie I. Dywizji Pancernej, pod których dowództwem dywizja ta odnosiła — wspaniałe sukcesy pod Falaise, Gandawą, Bredą Küsten Kanal i td.

Słuszną odprawę autorowi tych paszkwili dał „Tygodnik Powszechny" pisząc uczciwie:

„Dzieje oręża polskiego na obczyźnie są wspaniałe. Nie mamy dotąd ani jednego momentu, którego potrzebowalibyśmy się wstydzić. Zgoła inaczej przedstawia autor atmosferę, panującą w emigranckich środowiskach, a nawet w obozach wojskowych. I, dziwna rzecz, ze wszystkich tych przeżartych politykierstwem i intrygami ośrodków wychodziły formacje wojskowe, bijące się na froncie pierwszorzędnie, okrywające nową chwałą stare polskie sztandary. Więc jedno z dwojga: albo mózgi polskie posiadają jakiś bardzo su o'sty skład chemiczny, odporny na działanie intryganckich kwasów, albo — nie było tak źle z Polakami na Zachodzie".

I dalej:

„Czy pan romistrz Stanisław Strumph Wojtkiewicz naprawdę sądzi, że wszyscy polscy dowódcy są ludźmi bez sumienia i honoru? Że podkomendnych zawsze traktują, jak bezduszny szczebel do sławy, jak mierzwę?".

STRASZNE OSKARŻENIE

W tej samej książce p. Strumph rzuca straszne oskarżenie, że tragiczna śmierć gen. Sikorskiego spowodowana została rękami polskimi i stwierdza, że „ludzie otoczenia Sosnkowskiego, Andersa i Raczkiewicza" przyjęli jego śmierć serią wielkich pijaństw nie z rozpaczy, co się Polakom często zdarza, ale — z radości.

„Strumph Wojtkiewicz — pisze „Tygodnik Powszechny" — *utrzymuje, że gen. Sikorskiego zamordowały ręce polskie, lub kierowane przez Polaków. Jest to oskarżenie straszne. Zbrodnia ta rzuciłaby cień na całe współczesne pokolenie, więcej nawet, na dzieje Polski. Otóż z całym spokojem i świadomością powagi rzeczy chcę stwierdzić, że obowiązkiem każdego, kto cokolwiek na ten temat wie, jest mówić całą prawdę i nie ograniczać się do ogólników. My wszyscy, którzyśmy okres wojny przeżyli w kraju i na rachunek których działała emigracja, domagamy się dziś ujawnienia faktów. Pan Strumph Wojtkiewicz musi je znać, skoro sformułował tak ciężki zarzut. Czekamy na ich opublikowanie. To, co dotychczas napisał, nie wystarcza".*

Oczywiście p. Strumph takich dokumentów nie ujawnił, aczkolwiek upłynęło parę tygodni od napisania powyższych słów w „Tygodniku Powszechnym". Zaiste cena, jaką płacą ludzie, którzy sprzedali swe usługi reżimowi komunistycznemu w Polsce dla osobistych ambicji jest bardzo wysoka.

POLSKI INST. HISTORYCZNY

W miesiącu lipcu 1946 r. powstało na terenie W. Brytanii stowarzyszenie pod nazwą „Polski Instytut Historyczny" (Polish Historical Institution) z siedzibą Zarządu w Londynie.

Celem „Polskiego Instytutu Historycznego" jest prowadzenie, organizowanie i popieranie badań, studiów i prac naukowych nad najnowszą historią Polski ze szczególnym uwzględnieniem okresu wojny światowej 1939–1945 oraz polskiego wysiłku zbrojnego w tej wojnie.

Nowa ta placówka powstała z inicjatywy grona osób, pragnących poświęcić się pracom naukowo-historycznym i nie jest instytucją oficjalną.

Statut i plan pracy przyjęty na zebraniu organizacyjnym zapewniają całkowitą niezależność wszystkim kierunkom prac naukowo-badawczych Instytutu.

„REWELACJE" O BITWIE POD ARNHEM

Drugim takim dostawcą „rewelacji" o emigracji i jej wojsku był p. Ksawery Pruszyński, który po krótkim pobycie w Polsce, wolał „emigrować" ponownie, tym razem już z rodziną, do Ameryki, gdzie nie może narzekać na brak „radości życia". Prasa reżimowa tę stratę powetowała sobie nowym nabytkiem. Jest nim płk. dypl. Janusz Gaładyk, który niedawno wrócił do Kraju z terenu Armii Polskiej na Wschodzie i ogłasza artykuły o „faszyście" Andersie i 2. Korpusie we Włoszech.

Generał Anders — jego skromnym zdaniem — powinien być

„bez żadnych żartów natychmiast zdemobilizowany i odesłany do jednej z angielskich stajni wyścigowych, o czym, jak wiadomo marzy..."

Płk. Gaładyk dostarczył też czytelnikom „Polski Zbrojnej" „rewelacyj" w artykule pt. „Prawda o klęsce pod Arnhem", w którym czytamy:

„Polscy spadochroniarze — pisze płk. Gaładyk — *w czasie minionej wojny mimo swego niewątpliwego bohaterstwa mają, niestety, na swym rachunku głównie smutne karty. Zrzucani z zachodu do kraju najpierw rozpowszechniali tutaj fałszywe,ułudne nadzieje, niezgodne z rzeczywistością, ani z polską racją stanu, zaś później jako marionetki dawali się użyć do bratobójczej walki. Jedyna zaś wielka jednostka Polska Brygada Spadochronowa sformowana w Anglii, została dla egoistycznych celów emigracyjnej reakcji zniszczona w bitwie pod Arnhem..."*

Tak to „reakcjoniści" z jednej strony — według tezy propagandowej sowieckiej — wywołali powstanie warszawskie dla swych „egoistycznych, niskich celów", tak z drugiej strony znów „nie chcieli pomóc Warszawie" i dlatego posłali Brygadę pod Arnhem.

„Dopiero w połowie września 1944 — pisze dalej Gaładyk — *gdy powstała realna możność desantu Brygady Spadochronowej pod samą Warszawą, na prawym brzegu Wisły, dopiero wtedy Brygada Spadochronowa opuściła W. Brytanię. Ale dokąd ją posłano? O, bynajmniej nie do Warszawy. Przelot Brygady rozpoczyna się 18 września 1944, ale nie do Polski, ale do Holandii...*

„W zbrodniczym planie, rzucając Brygadę pod Arnhem, chcieli Raczkiewicz i Sosnkowski stłumić rodzące się wśród żołnierzy tej Brygady poczucie koleżeństwa i solidarności z towarzyszami broni z dywizji im. Kościuszki i im. Traugutta. Raczkiewicz i Sosnkowski, rzucając naszych skoczków pod Arnhem, chcieli z nich uczynić marionetki i kukły, którymi by mogli dalej posługiwać się dla swej reakcyjnej polityki. Chcieli, by Arnhem stał się dla nich deską ratunku, gdy domy w Warszawie waliły się w gruzy.

„Czy chociaż udział Polaków przyniósł jakiś pożytek dla przyśpieszenia pogromu Niemiec? Krótki opis przebiegu tej bitwy da nam odpowiedź".

W dalszym ciągu płk. Gaładyk opisuje niepowodzenie desantowych działań Sprzymierzonych.

Czyż za te niepowodzenia można winić sztab polski w Londynie czy rząd polski? Czyż termin wylotu Brygady do działań pod Arnhem (planowanych przez Sprzymierzonych wiele miesięcy naprzód), kiedy zdaniem płk. Gaładyka Brygada mogła polecieć nad Warszawę, mógł być właśnie tak wybrany, by Brygada ta walczyła w a Holandii a nie w Polsce? Są to oczywiste nonsensy, pisane jedynie z myślą szkalowania Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie.

Równocześnie wiadomo wszystkim, a musi o tym wiedzieć także płk. Gaładyk, który był z nami na emigracji, że Sztab Naczelnego Wodza czynił w ostatniej chwili starania, by Brygada Spadochronowa, szkolona z myślą o walce w Polsce, nie była użyta do tych działań w olbrzymim desancie 1. Armii Wojsk Powietrznych Sprzymierzonych w Holandii. Niestety, w chwili wybuchu powstania w Warszawie udział Brygady w inwazji był już przesądzony i wycofanie jej z precyzyjnie przygotowywanego desantu powietrznego na Zachodzie, o dużym znaczeniu, w razie sukcesu, dla przebiegu wojny, mogło spowodować szkody dla wspólnej sprawy Sprzymierzonych.

Tymi różnymi paszkwilami prasa reżimowa w Polsce stara się zbałamucić społeczeństwo. Wiemy jednak z doniesień z Kraju, że czyny Polskich Sił Zbrojnych na obczyźnie były i są otoczone miłością narodu, który wierzył i wierzy w to, w co i my, tu na obczyźnie, wierzyliśmy i wierzymy.

TADEUSZ NALER

Z Powstania warszawskiego: Pierwsze dnie...

Było okrutnie gorąco tego piątkowego popołudnia, czwartego dnia Powstania. Upał sierpniowy, który i tak się już dobrze dawał we znaki, jeszcze spotęgowały pożary.

Warszawa płonęła. Sytuacja pożarowa specjalnie groźnie wyglądała w Alejach Jerozolimskich i na odcinku Marszałkowskiej między Placem Zbawiciela i Unii Lubelskiej, to jest tam, skąd Niemcy wygarnęli już ludność cywilną i gdzie nie było powstańców. Opuszczone domy stawały natychmiast w płomieniach od pocisków zapalających. Ogień żarłocznie przenosił się z jednego budynku na drugi, trawiąc w szybkim tempie całe kwartały. Aż dziw brał jak prędko z solidnych śródmiejskich budowli pozostawała tylko kupka zgliszczy żarząca się wśród popękanych murów.

Tej potędze ognia skutecznie przeciwstawiała się nasza dzielnica, zatrzymując na obronnych liniach swych barykad groźny żywioł i pomyślnie zwalczając ogień przeniesiony do jej wnętrza pociskami zapalającymi. I tylko dym gryzł nas w oczy i drażnił powonienie, a w rozedrganym od gorąca powietrzu wraz z powiewem wiatru unosiły się snopy iskier, sadze i pył.

Na szczęście nie brakowało jeszcze wtedy wody. Wodociągi działały dosyć sprawnie a po podwórzach, piwnicach, sieniach i mieszkaniach tysiące wanien, balii, wiader i wszelakiego rodzaju i pochodzenia naczyń stale było wypełnionych wodą na zapas. Były to czasy względnej obfitości jadła i picia. Powstanie miało przecież trwać tylko parę dni.

Ogólnie nasza sytuacja bojowa rozwijała się pomyślnie. Po pierwszych trzech dniach walk nikt chyba nie wybiegał myślą tak dalece naprzód, aby przewidywać możliwość zmagań w trzecim, czwartym, czy dziewiątym tygodniu naszego zrywu bojowego. Nie znaliśmy wtedy zarówno mocy naszego oporu, jak i cynizmu międzynarodowych kombinacji, które nas skazały na zagładę.

Sytuacja w tych pierwszych dniach zdawała się rozwijać normalnie, niezwykłe tylko było słońce, które skąpo grzejąc pierwszego powstańczego poranka, teraz aż przesadzało w swej łaskawości, budząc trochę niepokój swym wyglądem — wielkie i gorejące, w rudej obwódce, zawieszone nisko nad miastem widziało każdy trud naszych poczynań, a owiane dymami płonącej Warszawy robiło wrażenie jakby się je oglądało przez okopcone szkło.

Szedłem ze swym patrolem ulicą Kruczą w kierunku Placu Zbawiciela. Śliczne młode drzewka, które na tej ulicy tak pięknie rozwinęły się w czasie wojny, gdy mnie w Warszawie nie było, teraz miały smutny wygląd. Listki stuliły się od gorąca i pokryte warstwą pyłu straciły swoją zieleń.

Wiele drzew wycięto w pierwszym zapale na wiązania barykad. Nie było to specjalnie potrzebne, ale zrobiono to w pośpiechu, gdy w nocy z pierwszego na drugiego sierpnia w szalonym tempie budowano barykady, mające zamknąć czołgom niemieckim dostęp z Alei Jerozolimskich do wnętrza południowej części śródmieścia. Wtedy to niejeden szacowny mebel znalazł się w jednym szeregu ze skrzynią śmietnikową i podwórzowym wieszakiem do trzepania, tworząc przeszkodę, przed którą miała się w swoim skoku zatrzymać niemiecka „Pantera" lub „Tygrys". Barykadę taką obudowywało się płytami wyrwanymi z chodnika i kostką kamienną z jezdni, podsypywało piaskiem i ziemią, a wiązało tym, co było pod ręką — deskami, krokwiami lub pniami ściętych drzew.

W marszu przez ulicę Kruczą, patrząc na zmiany, jakie niesie z sobą wojna, z żalem myślałem o drzewach z Alei Jerozolimskich i Ujazdowskich, a z zazdrością o lepszym losie drzew z Hyde Parku. Rozmyślania te przerwały mi słowa piosenki zanuconej przez jednego z kolegów. Piosenka miała rymy częstochowskie, a melodię dziadowską. Rzucił ją za nami — w chwili naszego odejścia — mój druh Bryła, także skoczek. Złościł się, że musiał zostać i mścił się za to w specjalny sposób. Krzywiąc gębę — niby w uśmiechu — chropawo zamamrotał:

... aby nie tracić nic animuszu
na wypad chodzi on w kapeluszu,
łażąc po gruzach, jak senna mara
nosi przezwisko pana Lewara

i według zwyczaju „z tamtej strony" podniósł na pożegnanie kciuki obu rąk w górę.

A myśmy rzeczywiście szli na polowanie na niemieckie czołgi, grasujące na odcinku kompanii por. Tadeusza Czarnego przy ul. Natolińskiej. Było nas czterech. Świeżo sformowany lotny patrol przeciwpancerny. Byłem dowódcą tej grupki. Spośród trzech mych towarzyszy znałem bardzo dobrze jedynie skoczka Fossę — mego przyjaciela jeszcze z lat przedszkolnych. Wiedziałem, że będzie niezawodny. Pozostali dwaj, to miejscowi „akowcy", znacznie młodsi wiekiem od nas obu. Bardzobym nie chciał okazać się gorszy od nich — pomyślałem sobie w pewnej chwili.

Nasze uzbrojenie składało się z karabinu „Mauzer", jednego pistoletu i skrzynki butelek z benzyną samozapalającą się po rzucie i rozbiciu butelki. Ta benzyna była dla czołgów operujących na ulicach miasta bardzo niebezpieczna, jeśli używał jej patrol, działający zdecydowanie. O ostatecznym wyniku walki w takim wypadku decydowała zwykle szybkość działania, zaskoczenie oraz umiejętność i długość rzutu butelką. Najlepiej było rzucać butelki z okien niższych pięter lub zza rogu domu, tak aby rozbijały się o pancerz z góry. Dawało to doskonałe efekty. Czołg zwykle stawał wtedy w płomieniach, a załoga z niego wyskakiwała. Operujący z takim patrolem strzelec mógł się wtedy wykazać niezawodnością oka i ręki.

Dla lotnych patroli ppanc. była właściwie przewidziana inna broń, a mianowicie miotacze płomieni produkcji konspiracyjnej, noszone na plecach. Mieliśmy właśnie następnego dnia otrzymać taki miotacz. Każdy z nas obiecywał sobie wiele sukcesów po tym sprzęcie. Dziś rano widziałem jak je na gwałt montowano w składnicy saperskiej. Do chwili jednakże naszego odejścia nie były jeszcze gotowe i dlatego na ten nasz pierwszy wypad przeciwczołgowy trzeba było iść z benzyną. Jutro jednak już będzie lepiej.

Po wczorajszym sukcesie byłem dobrej myśli. W zupełnie nieoczekiwany sposób udało mi się rozwiązać poprzedniego wieczoru najważniejsze w obecnej sytuacji zagadnienie. Zdobyłem broń. Miałem nowy, radomskiej produkcji karabin „Mauzera" i piętnaście ładunków do niego. Zmora braku broni dla mnie osobiście już nie istniała. O ileż bardziej wartościowy stałem się dzięki posiadaniu tego karabinu. Decyzja, powzięta z desperacji, zmierzch, ruiny, odrobina szczęścia, szybkie działanie i odwrót małego patrolu Niemców dały mi w rezultacie broń i ładunki. Czasem dobry rzut granatem może się okazać nieoceniony w skutkach.

Tymczasem doszliśmy do ostatniej barykady, zamykającej wylot Kruczej od małego placyku przy zbiegu Mokotowskiej i Piusa. Wylot ulicy Piusa trzeba było mijać bardzo ostrożnie, aby wejść w odcinek Mokotowskiej, prowadzący do placu Zbawiciela.

Niebezpieczeństwo stanowił dom małej „Pasty" przy ul. Piusa obsadzony przez Niemców. Mieli oni pod obserwacją wylot ulicy Piusa zarówno w kierunku Marszałkowskiej, jak i Mokotowskiej. Sami zamknięci naszym pierścieniem i całkowicie unieruchomieni, zamykali swym ogniem nasze szlaki komunikacyjne od Kruczej i Mokotowskiej w kierunku placu Zbawiciela.

Każdy kto nieopatrznie ukazał się w przejściu — był ostrzelany. Były z tego powodu dość duże i zupełnie niepotrzebne straty. Zmusiło to nas do zrobienia w nocy barykady, która, zamykając wylot Piusa na Mokotowską, chroniła od ognia oblężonych Niemców tych wszystkich, którzy w dzień musieli tamtędy przechodzić. Barykada ta jednak była bardzo niska, co zmuszało przechodzących do niskiego schylania się lub posuwania się na czworakach.

Wzdłuż barykady przeszliśmy bez przeszkód ze strony Niemców. Niewygodnie jedynie było ciągnąć ciężką skrzynkę z butelkami benzyny. Dalej Mokotowską można już było iść spokojnie. W czasie drogi zadawałem sobie pytanie dlaczego Niemcy nie zainstalowali kaemu na wieży kościoła Zbawiciela. Był przecież stamtąd doskonały wgląd na ul. Mokotowską i umieszczona tam broń maszynowa mogła podczas dnia zupełnie uniemożliwić wszelki ruch na tym odcinku.

Wylot Mokotowskiej na sam plac Zbawiciela był zamknięty dwiema wysokimi i solidnymi barykadami, ustawionymi w niewielkiej odległości jedna od drugiej. Przed ostatnią barykadą skręciliśmy w bramę domu stojącego w odległości kilkudziesięciu metrów od placu. Przewodnik poprowadził nas przez podwórza i piwnice do bloku domów przy Natolińskiej po nieparzystej stronie tej ulicy. Weszliśmy do domu — zdaje się pod numerem trzecim.

Linia frontu biegła w tym miejscu wzdłuż Natolińskiej. Strona przeciwna należała już do Niemców i właśnie teraz paliła się w najlepsze. Niektóre domy już zdążyły się zapaść. Były to — według informacji miejscowej załogi — budynki podpalone zaraz w pierwszych godzinach Powstania. Teraz już nie istniały, inne natomiast płonęły z trzaskiem i buzowaniem.

Odcinek ten był obsadzony dość silnie, jeśli chodzi o ilość ludzi. Uzbrojenie jednak mieli bardzo nędzne. Jako zasadnicze wyposażenie posiadali granaty ręczne oraz butelki z benzyną w niewielkiej ilości. Broni palnej było bardzo mało, a ładunków jeszcze mniej. Z musu siedzieli więc cicho, łakomie spoglądając na kręcących się w niewielkiej odległości — na placu Zbawiciela — Niemców. Ci zaś chwilowo dawali im spokój, nie siląc się na zdobywanie nieparzystej strony ulicy.

Załoga więc nasza tkwiła tam tylko w gotowości przy oknach i zabarykadowanych bramach, naprawiając workami z piaskiem dziury w narożnym domu, wybite przez pociski z dział, czekając na uderzenie niemieckie i marząc o tym, aby czołg, bijący ogniem działowym z placu Zbawiciela — zbliżył się na rzut butelki.

Pojawienie się nasze przyjęli miejscowi chłopcy z radością. Oczywiście przede wszystkim z powodu mojego karabinu. Natychmiast zaprowadzili mnie na miejsce, skąd było widać zbieg ul. 6 Sierpnia z ruinami dawnego M. S. Wojsk. i kawałeczek pl. Zbawiciela.

Stała tam grupa Niemców. Poczułem się w roli myśliwego. Szwabom zdawało się, że są bezpieczni. Wokoło tej grupki manewrował czołg. Złożyłem się spokojnie i jak na strzelnicy, pamiętając o wszystkich regułach strzeleckich, wstrzymałem oddech, powoli naciskając język spustowy.

W ostatniej chwili spostrzegłem nieco żywszą gestykulację Niemców i zanim usłyszałem własny strzał coś straszliwie rąbnęło pode mną, resztki szyb posypały się z okien, jakiś obrazek zleciał ze ściany, a pokój wypełnił się swędem i kurzem.

Zanim chmura pyłu opadła, moi Niemcy już znikli z pola widzenia. Na Placu nie zaobserwowałem żadnego znaku, któryby świadczył o skuteczności mego strzału. Czołgista niemiecki uprzedził mnie i walnął w ścianę domu, akurat pod nami. Oczywiście nie do naszego stanowiska celował, bo z takiej odległości musiałby trafić. Jak się potem okazało strzałem tym nie zrobił krzywdy. Wybił tylko ogromną dziurę, ale pożaru nie wzniecił.

Za chwilę usłyszeliśmy łoskot gąsienic. Potwór — jakgdyby dla obserwacji skutków swego strzału — skręcił w naszym kierunku i zaczął się zbliżać. Spojrzałem na naszych. Dosłownie rozpłaszczyli się przy ścianie frontowej. Żaden z nas nie wyglądał, aby nie spłoszyć zwierzyny. Łoskot gąsienic był coraz bliższy.

Zamarłem z karabinem, wciśnięty w róg przy oknie. Kącikiem oczu chciałem uchwycić sylwetkę nadjeżdżającego czołga, a wyobraźnią starałem się przewidzieć, którędy załoga będzie uciekać po zapaleniu wozu benzyną. Nie wiedziałem ilu ich będzie w środku i czy zdołam strzelać do wszystkich, nim się skryją. Najlepiej strzelać z podrzutu — myślałem.

Nie dane nam jednak było zapolować. W pewnej chwili stukot gąsienic umilkł. Fossa nie wytrzymał tego napięcia i niepewności i wyjrzał, po czym odszedł od okna i westchnął: „cofają się". Istotnie czołg tylnym biegiem wracał na pl. Zbawiciela. Nie chciał ryzykować zbyt bliskiego podchodzenia do naszych domów. Tymczasem musieliśmy obejść się smakiem.

Stanąłem przy oknie i z głębi pokoju, nie wychylając się, patrzyłem na ulicę. Nagle pokazał się pojedyńczy Niemiec. Był niezwykle blisko, tak blisko, że po prostu nie chciałem wierzyć oczom. Podniosłem karabin. Szwab szedł nie śpiesząc się. Najwyraźniej lekceważył nas. Nawet nie przytulił się do muru. Z całkowitą pewnością, że to już trup — strzeliłem. Niemca jakby zdmuchnęło, uciekał jelenimi skokami, w świetnej formie i zniknął za rogiem domu.

Stałem jak otumaniony. Aż mnie zaparło ze wstydu, a nieboszczyk mój dowódca kompanii z Podchorążówki na pewno w tym momencie w grobie się przewrócił, zawsze bowiem uważał mnie za dobrego strzelca. Było mi bardzo głupio i ze złością myślałem, że dzisiaj zmarnowałem już dwa ładunki bez skutku. Jak to więc będzie dalej z tym hasłem wypisanym na afiszach powstańczych „Każda kula — jeden Niemiec"?

Miałem jednak szczęście. Zza rogu wyszedł następny. Ten był ostrożniejszy. Wychylił się najpierw i cofnął znowu. Był w czarnym mundurze. Kiedy pokazał się po raz drugi, zmierzyłem bardzo starannie, a huk strzału zlał się z jego krzykiem. Pozostał na miejscu. Dla pewniejszego jednak strzału wychyliłem się bardzo z okna. Musieli mnie zauważyć, bo za chwilę po miejscu, w którym stałem strzelając, poszła seria z broni maszynowej.

Powoli ściemniało się. Czołg odjechał zupełnie. Przybiegli chłopcy z sąsiedniego domu, wołając do gaszenia pożaru. Poszliśmy im pomagać. Przed odejściem obiecałem miejscowej załodze powrócić następnego dnia, aby znowu zapolować na „ich czołga", ale tym razem już miotaczem płomieni.

LEWAR

Gawędy o W. Brytanii

"Lovely weather, isn't it"?

Mówienie o klimacie i jego wpływie na człowieka jest tematem wielce niebezpiecznym: nie jest to bowiem dziedzina dokładnie zbadana. Na temat klimatu krąży wiele ogólnikowych twierdzeń; przypisuje mu się — słusznie czy niesłusznie — liczne właściwości i cechy charakteru ludzkiego. Trudno jest jednak wykreślić jakąś rzetelną mapę, którąby wykazywała, jak cechy ludzkie, właściwości temperamentu, zdolność do pracy, inicjatywa i energia związane są z klimatem, z ilością opadów, z suchością czy wilgotnością powietrza, z nasłonecznieniem i td.

Jakkolwiek dziedzinie tej daleko jest do dokładności wiedzy ścisłej, orientujemy się, że klimat ma daleko sięgający wpływ na usposobienie człowieka, na jego „humory", nastawienie do życia. Zdajemy sobie sprawę, że Europa znajdująca się przeważnie w strefie klimatu umiarkowanego miała jednak szczególnie pomyślne warunki, ażeby zdystansować rozmachem, pracą i dynamizmem inne kontynenty, jak Azję czy Afrykę, które w dużej mierze mają klimat raczej niekorzystny dla działalności człowieka. Możemy snuć sobie domysły dlaczego np. człowiek w Indiach skłonny jest bardziej do kontemplacji, aniżeli człowiek z Europy, dlaczego rasy arabskie nie wykazują specjalnego zapału do pracy. Klimat odegrał w dziejach tworzenia się cywilizacji ludzkich rolę bardzo doniosłą, chociaż niecałkowicie jeszcze zbadaną i zgłębioną.

Jeżeli weźmiemy sam obszar Europy, to przekonamy się szybko, że na tym małym kontynencie mamy do czynienia z wahaniami, które przyczyniają się do wytworzenia odmiennych cech, właściwości i nastawień ras oraz narodów. Jest rzeczą jasną, że pewna melancholia, jaka znamionuje rasy skandynawskie i pęd do słońca, do światła, jaki zdradza nieraz literatura tych krajów jest w pewnym stopniu wynikiem klimatu Norwegii czy Szwecji: klimatu raczej surowego — szczególnie jeżeli chodzi o Norwegię — o przewadze miesięcy chłodnych lub zimowych. Zdajemy sobie sprawę, że większa pobudliwość Włocha czy Hiszpana, jego „południowy temperament" związane są z klimatem tych krajów. Francuz z północy jest inny od Francuza z południa, od Marsylczyka czy od podpirenejskiego Baska. Holendrzy, których kraj leży w znacznej części w depresji, mają „temperament flegmatyczny" w porównaniu np. z Belgami.

Oczywiście, byłoby wielką omyłką składać wszystkie różnice między rasami i narodami na karb klimatu. Tego rodzaju wniosek byłby przesadny. Albowiem nie tylko przyroda kształtuje człowieka — przy czym klimat jest jednym z najpotężniejszych czynników tego wpływu — ale również otoczenie ludzkie, historia, wychowanie, tradycja, innymi słowy to wszystko co człowiek stworzył w ciągu wieków, co powołał do życia własnym wysiłkiem, przeciwstawiającym się często przyrodzie.

Niemniej klimat pozostaje jednym z czynników, nad którym człowiek nie uzyskał dotychczas władzy. Wszelkie pomysły nowoczesnej wiedzy i techniki — jak tworzenie szczególnie miłego nastroju usposobiającego człowieka do pracy (błękitne szyby w fabrykach, typ światła sztucznego i td.), wszelkie *„air-conditioning"* czyli wytwarzanie w pokojach czy salach odpowiedniej temperatury i wentylacji, rozmaite pomoce tego typu, jak „górskie słońce" czy „górskie powietrze" — nie zdołały wyswobodzić człowieka spod władzy klimatu, nie potrafiły uniezależnić go od pogody. I nic nie zmieni faktu, że na ogół pogoda dżdżysta, przeciągłe deszcze, mgła i ziąb wywołują w człowieku przygnębienie, smutek — podczas gdy jasne światło słońca dodaje mu wiary w siebie i rozmachu życiowego.

Anglicy doskonale zdają sobie sprawę z roli, jaką pogoda odgrywa w życiu każdego człowieka. Stąd owe słynne „rozmówki o pogodzie", które człowieka przybyłego z kontynentu do W. Brytanii niekiedy dziwią, zaskakują a często doprowadzają do stanu zniecierpliwienia.

Albowiem Anglicy zaczynają swój dzień od spostrzeżeń na temat pogody: jest to konieczne zagajenie rozmowy, formuła grzecznościowa. Ponieważ w Anglii tyle rzeczy opiera się na owej formule, tyle rzeczy na pewnym ceremoniale — zarówno w sposobie mówienia, manierach jak i codziennych obyczajach (n.p. nalewanie herbaty, zastawa stołowa, adresowanie listów i td.) — więc cudzoziemiec musi pogodzić się z tym, że będzie witany słowami *„lovely weather, isn't it?* (piękna pogoda, nieprawda?), albo wymyślaniami na temat pogody (*„nasty weather"*, *„shocking weather"* i td.).

Anglik usiłuje jednak ze swoim wrodzonym optymizmem — jest to cecha bardzo znamienna dla Anglika, który stara się unikać zbyt przygnębiających myśli, obrazów, wniosków i wyciągać optymistyczny wniosek nawet z niepomyślnych faktów — przedstawić pogodnie czy humorystycznie zjawisko złej pogody. A zatem, gdy na dworze pada uczciwy deszcz i nie ma wielkich widoków na przejaśnienie, Anglik powie: *„lovely weather for ducks"* (piękna pogoda dla kaczek); podczas gdy my mówimy „leje jak z cebra", co nie nastraja nikogo zbyt wesoło, ani nie poddaje zbyt pogodnego obrazu, Anglik ujmie to weselej, inaczej: *„it is raining cats and dogs"*.

Rozmowa o pogodzie obowiązuje wszelkie warstwy społeczne, wszystkie stany: tak witają się zarówno ludzie prości, jak ludzie z t.zw. towarzystwa (*society*) i to wyższego czy najwyższego. Jest to prawdziwie demokratyczna instytucja, ta rozmowa o pogodzie: tak zagaja spotkanie mleczarz (*milkman*) rozwożący swoje mleko na wózku, portier (*porter*) domu, czy listonosz (*postman*); z takim pytaniem zwróci się do cudzoziemca gospodyni (*landlady*) jego pensjonatu (*boarding-house*) w Edynburgu, Liverpoolu, Glasgow, Londynie czy Oxfordzie, tak powitają go w klubie sportowym, w szatni (*cloak room*) restauracji mniej czy bardziej wytwornej czy skromnej.

Jednym słowem nie ma ucieczki od tej rozmowy i nie trzeba od niej uciekać: najlepiej dostosować się do obyczajów tego kraju i poddać się zbiorowej umowie. Oszczędzi to nam wiele przykrości i nerwów. Cudzoziemcy, którzy przez przekorę czy „zasady" nie uznają tej rozmowy i ostentacyjnie dają do zrozumienia Anglikom, że jest to śmieszny zwyczaj, są po prostu nieuprzejmi. Albowiem grzeczność wymaga szanowania tradycyj danego kraju. Rozmowa o pogodzie jest tradycją Anglii. Trzeba tę tradycję uszanować.

Cudzoziemiec, który złoży hołd tej tradycji przekona się rychło — jak w wielu innych wypadkach i dziedzinach — że właściwie ułatwia ona życie, że stanowi pewnego rodzaju najlepsze wprowadzenie w rozmowę, że jest to obojętne zagajenie rozmowy. Obojętne, jeżeli chodzi o „ton uczuciowy", jeżeli chodzi o poglądy rozmówców i td., ale bynajmniej nie takie obojętne dla poczucia zarówno Anglika, jak i cudzoziemca: albowiem nawet dla Anglika, który stara się znosić przeciwności losu ze stoickim spokojem, pogoda nie jest obojętna. Dlatego czyta on z zaciekawieniem komunikat meteorologiczny, dlatego chciałby wiedzieć jaka pogoda będzie na *week-end* (sobota-niedziela). Anglik zna bowiem złośliwości i kaprysy swojej pogody; przeklina ją nieraz serdecznie, ale bodaj w głębi serca chowa przekonanie, że klimat Anglii jest jednak najlepszy na świecie.

JAWNUTA

PORADNIK ZAWODOWY

Kpr. Raf. S.
Świadectwo ukończenia kursu zawodowego w wojsku ma zawsze pewne znaczenie. Może być pierwszym dowodem fachowości, która właściwie okaże się w czasie wykonywania zawodu (pracy). Ma ono również znaczenie w staraniu się o dopuszczenie do egzaminu czeladniczego.

Plut. W.H.
W wojsku są zorganizowane kursy malarstwa oparte o praktyki brytyjskie. Istnieje również kurs betoniarstwa. Zgłoszenia drogą służbową do Sam. Wydz. Szkol. Zawod. I Korpusu.

Plut. St. Z.
Sprawa nostryfikacji polskich świadectw czeladniczych i dyplomów mistrzowskich na terenie W. Brytanii zostanie uregulowana i podana wszystkim zainteresowanym do wiadomości. W jaki sposób zostanie przeprowadzona, nie zostało to jeszcze z władzami brytyjskimi uzgodnione.

Kan. M.P.
W wojskowej szkole rzemiosł w Inverary jest prowadzony kurs malarstwa pokojowego. Kurs ten ma wysoki poziom i daje duże przygotowanie zawodowe. Kończy się 20 lipca. Nowy kurs zacznie się w pierwszych dniach sierpnia. Zgłoszenia o przyjęcie należy skierować drogą służbową do Sam. Wydz. Szkol. Zawodowego I Korpusu.

Sierż. W. St.
W wojsku nie ma specjalnych kursów kierowców samochodowych. Są natomiast kursy ślusarzy samochodowych, elektro-mechaników samochodowych i ślusarzy-mechaników garażowych. Przeciętnie każdy kurs trwa do 6 miesięcy. W czasie trwania kursu odbywa się również i nauka prowadzenia samochodu. Nowe kursy rozpoczną się w lipcu i sierpniu b.r. Zgłoszenia pisemne drogą służbową do Sam. Wydz. Szkolenia Zawodowego I Korpusu lub zgłoszenie się ustne na podstawie rozkazu oddziału o terminie otwarcia i zgłaszania się na kurs.

NA PACZCE OD MYDŁA...

Obywatelki i Obywatele! Zgniła emigracjo i szczera demokracjo! Przyjaciele i wrogowie ludu! Faszyści i czerwonoskórcy!

Muszę wam się szczerze przyznać moi mili, że było mi bardzo przykro, gdy się dowiedziałem o szczegółowych wynikach referendum narodowego. Bo znowu zrobiono krzywdę „Tymczasowemu Zarządowi Przymusowemu" — opiekującemu się naszym krajem.

Za co? Tyle pracy nikt nigdy przedtem w Polsce nie wkładał w przygotowanie głosowania. Nikt nie potrafił nigdy tak zorganizować robociarzy, pisarzy, kominiarzy, aktorów, doktorów, fryzjerów, żołnierzy, gospodyń domowych i — nawet satyryków, jak to zrobiła genialnie P.P.R.

W „Polsce Zbrojnej" — rysunek świni, trzymającej w ryju kartkę „Nie" z podpisem: „Nie — rogacizna" *wskazywał żołnierzykom Żymierskiego niedwuznacznie jak należy sprecyzować odpowiedź w „swobodnym" demokratycznym głosowaniu. W tym samym organie wojskowym, cieszącym się osobistą bezpieką Spychalskiego, niejaki kapitan Zielicz umieścił parafrazę angielskiej piosenki „Ach nie — John". Posłuchajcie:*

„Tę piosnkę znad londyńskich mgieł
Pamięta Prezes P.S.L.
Śpiewać ją chciał. Lecz cóż to znów
Zapomniał widać w drodze słów,
Bo pod melodii obcy dźwięk,
Niby pękniętej płyty brzęk,
Niby żelaza zgrzyt po szkle
Słychać wciąż, tylko refren:
Nie, nie, nie!"

Satyra w Polsce sanacyjnej miała pewne kłopoty, czasem dość poważne, z mniej poważnymi ministrami. Dzisiaj satyra, moi mili, w obecnej Polsce nie ma żadnych kłopotów — bo...przestała być satyrą. Czym jest? Poczytajcie sobie wyjątki z jedynego bodajże „satyrycznego" tamtejszego organu, z którego tylko stara nazwa została — „Szpilki". Za ostra! Gdzie tam szpilki. Najstosowniejszą nazwą byłyby: „Czopki". Waselinowe! Oto próbki „satyry" z okresu referendum:

Numer 27-my „Szpilek" — Autor Jan Szelag:

„Kto mówi „nie"? *Nie-mcy!* Czy można cokolwiek w życiu zaczynać od „nie"? Czy może być dwa razy „tak" jeśli pierwsze byłoby „nie"? A więc trzy razy „tak".

Satyra? Kłuje? co? Szeląg szelma, aż ciarki przechodzą. Jaka odwaga cywilna?!

Numer 26-ty tego samego szpilkowego organu przynosi wielkie napisy w formie pasków reklamowych:

„Senat czyści nie przerywając snu!"
„Senatol tępi pluskwy!"

Dwójka „satyryków", w tym samym numerze spłodziła wodewil w jednej odsłonie p.t. „Trójka hultajska". Dwójką „satyryczną" są: obywatele Wołowski i Marianowski, Trójką hultajską: Szabrownik, Fabrykant, Obszarnik. Pośpiewajmy sobie kilka „uroczych" piosenek wodewilowych:

T e r c e t: (Szabrownik. Fabrykant. Obszarnik)
„Cóż mamy robić, by nic nie robić
Po tak dotkliwej stracie,
Chyba siedzeniem swoim ozdobić
Miękkie fotele w Senacie.
A zatem, a zatem głosujmy za Senatem,
Gdy referendum w kraju zacznie się
Powiemy — nie, trzy razy nie!"

Trzeba przyznać, że ani Sławoj Składkowski, ani propagandziści z B.B.W.R., ani wszystkie Zarządy OZONU nie potrafiły dokonać w czasie przedwojennych wyborów takiej przemiany polskiego pisma satyrycznego w propagandową prorządową „bibułę". Wsiąka w tę bibułę humor polski, wolność i niezależność satyry. Tylko jedna rzecz na wierzchu pozostaje: tłusta plama z waseliny. I tendencja.

Elegancki dowcip w dyskusji o referendum, dowcip o charakterze „antyrządowym", — prezentuje w „Szpilkach" obywatel E. Nawecki. Oto próbka jego felietonu:

„Przed wojną fabrykant polski, gdy zwalniał z pracy bez odszkodowania dziewczynę w poważnym stanie mawiał: Nie płacz mała — ja też mam brzuszek i się nie martwię".

Ten smak! Ten umiar!

Numer 25-ty „Szpilek" nie różni się od poprzednich i następnych w tym względzie. Linia wyraźna. Zdecydowany zapach wieje z tego rysunku wielkiej lipy, która zakwitła karteczkami z napisem „Nie". Dookoła lipy tańczą członkowie P.S.L. z Mikołajczykiem oraz fabrykanci i obszarnicy. Autorem rysunku jest ten sam „nadworny" malarz reżimowy, który spłodził wyżej wspomnianą świnię w „Polsce Zbrojnej" Karol Baraniecki.

Na innym mniejszym rysunku przedstawiono dwie paniusie w takim dialogu:

„A pani jak głosuje?"
„Chciałam: „Nie", ale jak ta z pierwszego piętra, *co żyła z gestapowcem głosuje „Nie" — to ja będę głosowała „Tak".*

Biedna satyro polska! W grobie tymczasowym przewraczasz się z bólu, przypominając sobie czasy wolności i świetności. Tak, tak moi mili, w tym „kołchozie pro-rządowości" i jedności nad podziw jednomyślnej, nie ma miejsca dla wielkiej Pani Satyry, przed którą drżały najtęższe rządy i najprzedniejsze osobistości. Nie ma miejsca. Nie! Trzy razy „Nie!"

Raz na tydzień pogrzeb tej wielkiej Pani urządzają, małe, bardzo małe „Szpilki", które jakby na kpiny przybrały sobie czołowe motto z Krasickiego:

„Prawdziwa cnota krytyk się nie boi"...

No tak — ale cnota! Prawdziwa. Natomiast niecnoty z rządu tymczasowego — boją się. Umierają ze strachu. I dlatego „Szpilki" nie kłują. Dobre „Szpilki". Gładko włażą im...z waseliną. „Czopki", obywatele, stanowczo „Czopki"!

Po takiej ogromnej pracy przedwyborczej, w czasie której nawet pisma humorystyczne zamieniono w agitacyjne trybuny — słuszne zwycięstwo należało się zmęczonej, spoconej, zdenerwowanej — P.P.R. I dlatego żal wyraziłem serdeczny, że taki ogrom wysiłku, taka masa pieniędzy, takie stosy papieru wszystko poszło na marne!

Powiadam wam moi mili demokraci, że twardy to naród, który na przekór propagandzie, na przekór grandzie, na przekór nawet „aktualnej satyrze" — potrafił powiedzieć „Nie". Prawdziwa cnota... „Bezpieki" — się nie boi!

Do usłyszenia za tydzień, na tym samym miejscu, o tej samej porze

Wasz

OBYWATEL ŻĄDEŁKO

PORADNIK ŻOŁNIERSKI

Ppor. S—cki Marian.
Pretensje Pana w stosunku do I.T.C. wydają mi się niesłuszne, gdyż Dział Oświaty I.T.C. (Tymczasowy Komitet Treasury dla Spraw Polskich) nie organizuje kursów ani szkolenia zawodowego pod kątem potrzeb żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych, oczekujących na zdemobilizowanie. Problemem tym zajmują się czynniki wojskowe, organizując żołnierskie kursy w poszczególnych jednostkach wojskowych.

Kan. Stanisław D.
Na terenie W. Brytanii nie istnieje „Związek Ochotnika ze Szwecji" i nie ma żadnej specjalnej odznaki dla ochotników ze Szwecji.

Chor. Alojzy P—ta.
Zanim Pan rozpocznie starania o wizę, musi Pan uzyskać paszport lub dokument zastępczy t.j. *Certificate of Identity*. Prośbę o ten dokument należy skierować do Dcy I. Korpusu. Brat Pana, ponieważ nie podlega Dcy I. Korpusu i przebywa stale w Londynie, może prosić o wydanie dokumentu zastępczego — Oddz. Rozmieszczeń żołnierzy i Planowania Zatrudnień Sztabu Głównego, Ashley Gardens, S.W.1.

Kpt. C.P.—ki.
W wypadku przedstawionym przez Pana Kapitana może Pan prosić o zdemobilizowanie z P.S.Z., o ile jest Pan w stanie przedstawić wizę wjazdową do obranego przez siebie kraju oraz stwierdzenie posiadania zapewnionego transportu (np. z Interim Treasury Committee).

Por. M.W.
Oficerowie przeniesieni do „Rezerwy Personalnej Oficerów" otrzymują zmniejszone uposażenie, wyżywienie w naturze oraz zakwaterowanie. Oficerowie należący do „Rez. P. Ofic." mogą być powoływani na kursy i staże wojskowe i cywilne jednak z prawem do zmniejszonego uposażenia, wyżywienia w naturze i zakwaterowania.

SPIS RZECZY

WYDAJE „FIGHTING POLAND" TRUST

Adres Redakcji (Editorial Offices): 52 Halton House, 20-23 Holborn, London, E.C.1. Tel. CHAncery 7747.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej — 13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: (z przesyłką pocztową) w Wielkiej Brytanii miesięcznie 1sh. 6d kwartalnie 4 sh. 6d., w U.S.A. i Kanadzie miesięcznie 35 c., kwartalnie $1.00 c.
Należność prosimy wpłacać z góry przekazem pocztowym lub czekiem na „FIGHTING POLAND TRUST" pod adresem Administracji.
Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam — £1 ($5). Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia na pierwszej stronie w miarę wolnego miejsca o 100% drożej. Ogłoszenia drobne 6d. za słowo.
Poszukiwania osób rodzin wojskowych bezpłatnie w miarę wolnego miejsca.
Adres Administracji (Business Offices): 69, Earl's Court Square, London, S.W.5. Tel.: FLAxman 8600

Printed for „Polska Walcząca" by Williams, Lea & Co., Ltd., Clifton House, Worship Street, London, E.C.2. Registered at the G.P.O. as a Newspaper